



# Odkrycie bozonu Higgsa a finansowanie nauki w Polsce

AGNIESZKA ZALEWSKA

W dniu 4 lipca 2012 roku na seminarium w CERN-ie ogłoszono odkrycie higgsopodobnej cząstki (nawiasem mówiąc – dodatkowe dane coraz bardziej wskazują na bozon Higgsa). Przekaz medialny bezpośrednio związany z tym seminarium dotarł do MILIARDA ludzi na całym świecie. Nigdy wcześniej pojedynczy wynik naukowy nie wzbudził tak wielkiego społecznego zainteresowania. Mała część odbiorców tej informacji zdawała sobie pewnie sprawę z tego, że prace związane z Wielkim Zderzaczem Hadronów (LHC) i eksperymentami, w których dokonano odkrycia, zaczęły się 20 lat wcześniej. Nic więc dziwnego, że podkreśla się, jak ważne było stałe wsparcie, jakiego kraje członkowskie CERN-u udzielały projektowi LHC przez te wszystkie lata. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami, to zbieranie danych przy Wielkim Zderzaczem Hadronów potrwa jeszcze kilkanaście lat, bo odkrycie bozonu Higgsa jest początkiem, a nie końcem prowadzonych badań.

LHC jest pewnie najbardziej spektakularnym przykładem długotrwałości programu badań przy nowo powstałym akceleratorze, ale nie odbiega bardzo od normy w fizyce cząstek. Na przykład program badań związanych z poprzednikiem LHC, czyli Wielkim Zderzaczem Elektron-Pozyton (LEP) w CERN-ie, trwał blisko 20 lat, a wyniki publikowane były jeszcze przez dalszych 12 lat. Typowy eksperyment z fizyki cząstek podporządkowany jest zdefiniowanemu wcześniej programowi badań i obejmuje następujące fazy: projektowania aparatury, budowy i testów prototypów detektorów wchodzących w skład aparatury pomiarowej, konstrukcji tej aparatury, jej uruchomienia oraz zbierania i analizy danych. Detektor jest na ogół udoskonalany już na etapie zbierania danych. Im trudniejszych i rzadszych procesów dotyczy założony program badawczy, tym bardziej wyrafinowana jest budowana aparatura i dłużej trwają poszczególne etapy. Warto wiedzieć, że aparatura pomiarowa eksperymentów ATLAS i CMS, w których dokonano odkrycia cząstki Higgsa, to wypełnione detektorami walce o średnicy rzędu 20 m i długości 40 m. Fazy budowy i testów apa-

raty są na ogół ubogie w publikacje, co kompensowane jest dużą liczbą publikacji w okresie zbierania i analizy danych. Na każdym etapie, od zdefiniowania programu badań po decyzję o zakończeniu zbierania danych, eksperymenty są opiniowane przez międzynarodowe komitety naukowe. Podlegają też stałemu nadzorowi laboratorium, w którym są prowadzone. Współczesne eksperymenty fizyki cząstek coraz częściej realizowane są w ramach współprac o światowym zasięgu.

Trudne i długofalowe eksperymenty, realizowane przez wielkie zespoły złożone z grup badawczych z co najmniej kilkudziesięciu instytucji naukowych z całego świata, są już normą w eksperymentalnej fizyce cząstek czy w badaniach Kosmosu. Wydaje mi się, że stopniowo stają się normą i w innych dziedzinach nauki (przykładem projekty ESFRI). Coraz pilniejsze jest więc wypracowanie zasad finansowania takich długofalowych projektów.

Finansowanie tego typu programów w Polsce zilustruję na przykładzie eksperymentów przy zderzaczem LHC, bo mają one status priorytetowych badań w europejskiej fizyce cząstek i uczestniczy w nich ponad stu polskich fizyków, nie licząc zmieniającego się w czasie udziału inżynierów, techników i zewnętrznych firm przemysłowych. Sama nie biorę udziału w żadnym z tych eksperymentów, natomiast śledziłam ich losy od samego początku w ramach pracy w polskich komisjach, komitetach naukowych w CERN-ie, a przez ostatnie trzy lata z perspektywy polskiego delegata naukowego do Rady CERN-u.

Polska stała się krajem członkowskim CERN-u w 1991 roku, niedługo przed rozpoczęciem realizacji programu LHC. W latach dziewięćdziesiątych polskie zespoły przystąpiły najpierw do eksperymentów ATLAS i CMS, a później ALICE i LHCb. Zobowiązania poszczególnych grup w ramach pojedynczego eksperymentu regulowane są przez szereg tzw. Memorandum of Understanding (MoU). Dla eksperymentów przy LHC były one negocjowane i zostały podpisane w fazie konstrukcji detektorów na poziomie przedstawicieli agencji finansujących. Na przykład z polskiej strony MoU dla eksperymentów ATLAS i CMS

- ▶ podpisane zostały w 1998 roku przez ówczesnego podsekretarza stanu, reprezentującego Komitet Badań Naukowych. Tak wysoki poziom reprezentacji poszczególnych krajów miał zapewnić długofalowe wywiązywanie się z zobowiązań.

W fazie zbierania danych trzeba z kolei zapewnić poprawne funkcjonowanie aparatury, np. pokrywając koszty różnych mediów. Z grubsza składki na ten cel, płacone przez dany kraj, są proporcjonalne do liczby uczestników i liczby grup badawczych z tego kraju. Udział w kosztach również regulują odpowiednie MoU, które w przypadku eksperymentów ATLAS i CMS zostały podpisane przez polską stronę w 2002 roku. Wysokość składek w przypadku eksperymentów LHC dyskutowana jest przez tzw. Resources Review Board (RRB), w którego skład wchodzi przedstawiciele agencji finansujących. Na ogół są to wysocy urzędnicy tych agencji, rzadziej – oddelegowani fizycy.

Aby indywidualna grupa badawcza mogła prawidłowo wykonywać zadania w ramach międzynarodowej współpracy danego eksperymentu, poza płaceniem składek musi mieć pieniądze na budowę części detektora, a następnie jej obsługę i udoskonalenia, dyżury przy zbieraniu danych, udział w zebraniach współpracy, wyjazdy na konferencje celem prezentowania wyników oraz na podstawowe prace związane z analizą danych.

W polskim systemie finansowania badań naukowych, który powstał po przemianach politycznych przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, udział polskich zespołów w eksperymentach prowadzonych w ramach międzynarodowej współpracy początkowo finansowany był przez SPUBy (dotacje na utrzymanie Specjalnych Urzędzeń Badawczych), następnie SPBy (Specjalne Programy Badawcze), a obecnie w Narodowym Centrum Nauki – konkursy w ramach programu Harmonia. Zmieniały się zasady dotyczące tego finansowania i jego elementy składowe. Na przykład składki do eksperymentów były włączone lub miały oddzielny strumień finansowania, czasem z wnioskiem mogły występować tylko pojedyncze instytucje, a czasem konsorcja wszystkich polskich uczestników eksperymentu, wnioskowana wysokość finansowania mogła podlegać redukcji lub nie. Wcześniej wnioski zawierały możliwość zakupu lub wytworzenia aparatury, która począwszy od konkursu Harmonia 2 została zlikwidowana. Zawsze można było równolegle występować o „zwyczajne” granty na finansowanie dobrych pomysłów analiz fizycznych w oparciu o dane z eksperymentów.

Biorąc pod uwagę moje dwudziestoletnie doświadczenie w występowaniu o finansowanie na udział w eksperymentach z fizyki cząstek oraz w recenzowaniu takich wystąpień, całościowe potraktowanie udziału w eksperymencie wydaje mi się najlepsze i pozwala na uniknięcie podejrzeń o podwójne finansowanie.

Jestem zdecydowaną zwolenniczką łącznego występowania o finansowanie przez konsorcja polskich instytucji, a nie pojedyncze instytucje, gdyż wspiera to współpracę między nimi. W dużych międzynarodowych zespołach konkurencja jest potężna i dobra współpraca na poziomie krajowym zwiększa siłę przebiecia polskich grup. Z perspektywy eksperymentu T2K (DELPHI) widzę (widziałam), jak kraje o większym niż polski udziale finansowym i ludzkim dbają o koordynację prac swoich zespołów w eksperymencie, więc tym bardziej powinna to robić Polska.

Nie wypowiadam się na temat włączenia, lub nie, zakupu aparatury do wniosku, bo to złożona sprawa i wymaga osobnej analizy w każdym przypadku. Uważam natomiast, że wyłączenie z programu Harmonia możliwości wytwarzania aparatury jest niekorzystną zmianą. Abstrahuję tu już od faktu, że łatwo o pomylenie dozwolonego wykonania i sprawdzenia projektu aparatury z niedozwolonym faktycznym wytworzeniem aparatury. Aparatura w eksperymentach z fizyki cząstek to często projekty na granicy aktualnych możliwości technologicznych i jej udoskonalenia w trakcie eksperymentu idą w kierunku pozostawania na tej granicy. Udział w projektowaniu i budowie aparatury oznacza transfer technologii do Polski, zarówno na poziomie projektów wykonywanych w polskich instytucjach badawczych, jak i na poziomie ewentualnych zleceń w polskich firmach. Na przykład, ze względu na planowane zwiększenie świetności Wielkiego Zderzacza Hadronów, eksperymenty przy LHC mają przed sobą wprowadzenie istotnych ulepszeń w elektronice odczytu z detektorów, co technologicznie jest bardzo interesujące. Należy też pamiętać, że zaprojektowanie czy wytworzenie w Polsce aparatury to często wkład do eksperymentu o najlepszym stosunku wartości do ceny.

Całościowe podejście do finansowania udziału w eksperymentach fizyki cząstek ma jedną wadę – wnioski o finansowanie są na duże kwoty, choćby dlatego, że wystąpienia dotyczą kilkudziesięciu osób. Finansowanie „na głowę” uczestnika jest pewnie nawet mniejsze niż przeciętnie w grantach, ale wielkość kwoty robi wrażenie. Jedną zmianą, prowadzącą do „odchudzenia” wniosków, byłaby pożądana – przejście kontroli nad płaceniem składek na eksperymenty bezpośrednio przez ministerstwo.

W ciągu ponad 20 lat finansowania polskiego udziału w eksperymentach fizyki cząstek niestety nie udało się rozwiązać problemu zapewnienia ciągłości finansowania długofalowych eksperymentów. Co trzy lata pojawiają się emocje – przejdzie wniosek o finansowanie, czy nie przejdzie. Jeśli idzie o wnioski dotyczące eksperymentów przy LHC, to pod koniec 2009 roku, po pozytywnych ocenach merytorycznych i negocjacjach związanych z ujednoliceniem zasad wysokości finansowania, wszystkie cztery eksperymenty uzyskały je w tym samym czasie. W związku z tym jesienią 2012 roku na trzy eksperymenty złożony wnioski o finansowanie w konkursie Harmonia 3 i wszystkie trzy zostały odrzucone z różnych przyczyn formalnych. W przypadku jednego z nich uznane zostało odwołanie. Teraz już cztery wnioski spotkają się w konkursie Harmonia 4. Jeśli nie uzyskają finansowania, to powstanie absurdalna sytuacja, kiedy po 20 latach pracy na rzecz tych eksperymentów ponad połowa polskich fizyków cząstek pozostanie bez finansowania. W okresie, kiedy trwa analiza bardzo ciekawych danych, na czele z badaniami bozonu Higgsa, i powstają setki publikacji, brak finansowania grozi utratą prawa do współautorstwa i byłoby to koszmarnym marnotrawstwem zainwestowanych już pieniędzy i ludzkiego wysiłku.

Czas najwyższy, aby systemowo rozwiązać zagadnienie ciągłości finansowania długofalowych eksperymentów w przypadkach, gdy prace polskich grup uzyskują pozytywną ocenę merytoryczną. Sposobem na to mogłoby być stworzenie specjalnego strumienia finansowania i coroczna ocena wykonania zadań, skutkująca dodaniem (lub nie – w przypadku negatywnej oceny merytorycznej) kolejnego roku finansowania eksperymentu.

AGNIESZKA ZALEWSKA

Instytut Fizyki Jądrowej im. H. Niewodniczańskiego PAN

# Anonimowość, donosologia, „człowiek z podziemia”

Niniejszy tekst nawiązuje do opublikowanego w 193 numerze „PAUzy Akademickiej” tekstu Włodzimierza Zagórskiego *O anonimach w ogólności* oraz tekstu Magdaleny Bajer *Grzech śmiertelny internetu* („PAUza Akademicka” 196). Posłużę się w nim dwoma terminami, jakie pojawiły się w Rosji, carskiej i radzieckiej, ale pasują także do naszej rzeczywistości: donosologia i „człowiek z podziemia”.

Wypowiadanie się na jakiś temat, przedstawianie własnego sądu, opinie o czymś lub o kimś to normalność, to prawo i dowód wolności słowa. Pod warunkiem jednak, że głosi się je otwarcie, pod własnym nazwiskiem, a nie z ukrycia i podstępnie. Tymczasem u nas jedną z zasad życia publicznego i społecznego stała się anonimowość. Miejscem, gdzie takie głosy się pojawiają, jest przede wszystkim internet. Wypowiedzi dotyczą wszystkich tematów i problemów, wszystkich środowisk i sfer życia publicznego, instytucji i osób, wiary, ideologii i poglądów politycznych. Spora ich część, może nawet większość, ma formę, jakiej powszechnie używa się w publicznym dyskursie społecznym. Znacznego procentu jednak nie można zaakceptować, gdyż przekracza wszelkie dopuszczalne granice kultury, jest dowodem jej upadku. Znamienne, że prawie nikt przeciwko temu nie protestuje. I nie należy podnosić argumentu, że likwidacja anonimowości byłaby rodzajem cenzury.

Wypowiedzi, o których mowa, stanowią formę donosów. Donosów szczególnych, bo nie adresowanych bezpośrednio do władz, by te zareagowały i ukarały, lecz do społeczeństwa, aby się dowiedziało, by – jak sądzą ich autorzy – poznało prawdę, nieznanne fakty lub słuszną opinię na dany temat.

Donosicielstwo, zjawisko ogólnoludzkie, w poprzednim systemie ideologicznym zyskało nowy walor i stało się masowe. Sprawilo to, że zaczęto mówić o donosologii. Nowa ideologia odrzuciła zasady oparte na tradycyjnym rozróżnieniu dobra i zła, zakwestionowana została również podstawowa kategoria poznawcza – prawda. W modelu nowego człowieka, określanego później pogardliwie jako *homo sovieticus*, donos stanowił istotny wyróżnik jego społecznego bytu. W eksperymencie ideologicznym, mającym prowadzić do stworzenia nowej cywilizacji, dążono, by człowiek przestał postępować tak, jak postępował dotąd, i zaczął myśleć, odczuwać i działać po nowemu. Aksjologiczna struktura człowieka ulegała degeneracji. *Humanitas*, człowieczeństwo przestawało być podstawowym wyróżnikiem istoty ludzkiej. Donosicielstwo zostało obwołane honorowym obowiązkiem, natomiast brak donosu traktowano jako przestępstwo. Indoktrynowany obywatel przestał rozumieć, iż donosząc, popełnia podłość.

Tak wyglądała sytuacja jednostki w systemie totalitarnym, w którym odebrano jej wolność i zdeprawowano moralnie. Przypatrzmy się, jak to jest w przypadku osoby z innego kręgu cywilizacyjnego, naszego. Jego reprezentant – *homo occidentalis* – jest także, podobnie jak kiedyś *homo sovieticus*, obiektem eksperymentu antropologicznego; ja zwracam uwagę tylko na jeden z jego aspektów.

Postęp techniczny stworzył możliwość bycia anonimowym i wypowiadania się z ukrycia. To bardzo niebezpieczna tendencja w rozwoju duchowym człowieka, ona go niszczy. Sytuacja taka jest akceptowana, zjawiska tego się nie zwalczą, bo to dowód pędu ku niczym nieograniczonej wolności. Mam świadomość, że wypowiadając się otwarcie, również można kłamać i obrażać, ale wówczas ponosi się lub, ostrożniej mówiąc, można ponieść za to osobistą odpowiedzialność. Człowiek anonimowy natomiast nie jest ograniczony żadnymi zakazami. Nie obowiązują go normy aprobowane społecznie. Ma pełne pole do popisu i obficie z tego korzysta. W poprzednim systemie doskwierał mu brak wolności, w naszej cywilizacji deprawuje go samowola.

Kim jest istota, która zamieszcza w internecie swoje anonimowe wypowiedzi – podłe, zaczepne, nieprawdziwe, wprowadzające w błąd, krzywdzące? To postać etycznie i moralnie zdegenerowana – tchórz, któremu brak odwagi. Przypomina mi nieco bohatera jednej z powieści Fiodora Dostojewskiego – *Notatki z podziemia*. Pisarz przedstawił w nim człowieka z podziemia (po rosyjsku *iz podpolja*). Czesław Miłosz wolał tłumaczyć ten termin jako człowiek z lochów. To postać symboliczna, symboliczna jest też przestrzeń, w jakiej egzystuje: w podziemiu jego świadomości panują inne prawa niż te, jakie tradycyjnie rządzą światem. One dają mu poczucie siły. Tu wolność zmienia się w samowolę i można zrobić wszystko, często dla zemsty, zabawy i plugawej satysfakcji. Człowiek z podziemia to istota podła, obmierzła, cechuje ją nihilistyczne rozwydrzenie. A także strach, lecz podziemie, lochy dodają mu pewności siebie.

Anonimowe są także opinie studentów o pracownikach uczelni i prowadzonych przez nich zajęciach. Uważane są za rzecz całkowicie normalną, co więcej: można nawet za to zostać nagrodzonym. Nagradzają za anonimowe wypowiedzi rektorzy uczelni. Minister Nauki i Szkolnictwa Wzwyższego tzw. ewaluację traktuje jako święty obowiązek, a Ministerstwo i Komisja Akredytacyjna sprawdzają, czy systematycznie się one odbywają. Ma to być dowodem demokracji, bo daje jakoby prawo do swobodnej wypowiedzi. Wśród tych, od których żąda się opinii, sporo jest, może nawet większość, takich, którzy mogliby ankietę podpisać swoim nazwiskiem. Jednak żąda się, by były one anonimowe. Bo tylko takie jakoby są szczere, sugeruje się, że nie spotkają za nie żadne represje ze strony krytykowanych. Nikt nie badał, czy studenci rozumieją sens takiego zabiegu i świadomie go akceptują. Są wśród nich i tacy, którzy nie chcą brać udziału w tym procederze, bo anonimowość uwłacza ich godności. Argument, że dzięki anonimowości władza uzyskuje obiektywną opinię, jest z gruntu nieprawdziwy. Wiedzę o pracowniku i jego zajęciach można zdobywać w inny sposób – robiono to zawsze i bez anonimowych ankiet było wiadomo, kto należy do świetnych wykładowców, a kto do miernych, kto jest chwਾਲony, a kto krytykowany. To przerażające, że studenta uczy się tego, co robi anonimowy autor z internetu. On też może stać się człowiekiem z podziemia.

## zaPAU

## Re: 50+

Spróbuję przedstawić, co myślę o problemie „50+” (zob. „PAUza Akademicka” 202, str. 4) z perspektywy człowieka, który wcześniej (jako 60–) zetknął się z ludźmi 50+ w środowiskach nauk ścisłych w Polsce, Wielkiej Brytanii i Kanadzie, a obecnie znowu w Polsce. Teraz sam nieuchronnie odczuwam to, o czym Cyceron mówił: „Starość: ukoronowanie życia i ostatni akt naszego przedstawienia”. To rzeczywiście tak jest: w innej scenarii, zwykle z innej pozycji, nie tyle gramy, co tworzymy ostatni akt naszego życia. Każdemu przychodzi tworzyć ten akt inaczej, jednakże – w sytuacji niedramatycznej – w sposób zdeterminowany tym, czego nauczył się i co zrobił, gdy był 50–, chociaż – jak napisał w „PAUzie” 195 Maciej W. Grabski – „zapomnieniu ulega wszystko to, czego się nauczyliśmy”. Pozostają w nas – i to do końca naszej aktywnej świadomości – pewne reguły rozumowania i pewien szkielet właśnie tego, czego w mniejszych lub większych szczegółach nauczyliśmy się, co tworzyliśmy, jak konfrontowaliśmy taką czy inną rzeczywistość nas otaczającą. Z czasem wyrobiło to w nas zdolność szerszego spojrzenia, doświadczenie, spokój intelektualny, umiar w sądach o ludziach i problemach. Wydaje mi się, że Michel de Montaigne nie do końca, w każdym razie nie uniwersalnie, miał rację, twierdząc, że starość żłobi nam więcej zmarszczek na duchu niż na twarzy. Zmarszczki na twarzy są kłopotliwe, ale jeżeli zmarszczki na duchu nie są zbyt liczne i nie za głębokie, to ten ostatni okres naszego życia może być intelektualnie wspaniały. Niektórzy mogą poczuć smak tego, co oznacza bycie – *toutes proportions gardées* – autorytetem, mędrcom, a *sage, an old samurai*, etc.

Co do profesorów 50+, a nawet 70+... Mówi się, że blokują młodych, że zabierają im fundusze na naukę. Widziałem takie różnice pokoleniowe, różnice zainteresowań, tematyki badawczej, a także takie spory – przez 35 lat.

Wiadomo, że Nagrody Nobla otrzymuje się najczęściej w późnym, a nawet bardzo późnym wieku, lecz zwykle za prace zrobione w okolicy trzydziestki; niekiedy były to prace doktorskie przyszłych noblistów. Po prostu potrzebny jest czas na docenienie wyników czy na potwierdzenie zapoczątkowania przez nie nowych dziedzin w nagradzanych naukach. Jeszcze trudniej bywa w matematyce – tam mówi się, że jeżeli ktoś nie zrobi czegoś istotnego przed trzydziestką, to już nie zrobi.

Młodzi (35–) mają swoje zainteresowania naukowe, swoje kontakty w świecie, podlegają różnym wpływom naukowym. Niemniej starsi profesorowie mają perspek-

tywę, spojrzenie na całość swojej, nawet wąskiej, dziedziny, zmysł krytyczny i materiał porównawczy, mają umysł w tymże – nazwijmy to – wytrenowany. Nawet jeżeli mają jeszcze tylko nielicznych doktorantów – nawet jednego(a), to zwykle robią coś ważnego, coś posiewają, ciągle zostawiają po sobie ślady trwałe (publikacje) i ulotne (atmosfera). Mógłbym tu podać konkretne nazwiska i daty w Polsce, w Wielkiej Brytanii, w Kanadzie. Przykładowo, w 1974 roku 67-letni wówczas Sir Rudolf Peierls przeszedł w Oxfordzie na emeryturę i wyjechał na kilka lat do Seattle, by pracować w University of Washington.

W Kanadzie profesorowie uniwersyteccy nieodwołalnie szli na emeryturę w wieku 65 lat. W ostatnich latach profesorowie nie muszą odchodzić w wieku 65 lat, a wiek emerytalny bywa przedłużany w indywidualnych przypadkach, zwykle drogą negocjacji. Tak czy inaczej, tacy profesorowie siedzą potem we wspólnych pokojach; ich dawne gabinety – z widokiem na campus – przejmują młodszy. Ale trwają. Sama ich obecność często wpływa na kierunek badań: kontynuowana bywa w danej grupie tematyka rozwinięta przez ustępującego profesora, chociaż niekiedy zmiany tematyki przez następców inicjują zupełnie nowe zagadnienia. Znałem takich spośród emerytowanych profesorów, którzy nadal otrzymywali spore granty badawcze z federalnych agencji NSERC albo SSHRC.

Ważne jest, aby i w Polsce starsi ludzie pozostawali czynni w środowisku naukowym, aby współpracowali z ludźmi będącymi „świeżą krwią”, jednak bez prób ich zdominowania, ani kwestionowania ich kierowniczej roli i funduszy na badania. Z drugiej strony, wśród recenzentów wniosków o granty młodzi uczeni powinni być znacząco reprezentowani.

A może pomogłoby rozwiązanie anglosaskie? Tam tytuł „Professor” związany jest ze stanowiskiem profesora na jakimś uniwersyteckim wydziale, w instytucie czy laboratorium. Tytułowanie „Professor XY” jest rzadkie, zwykle wszyscy oficjalnie nadal zwracają się do takiej osoby per „Doctor XY”. Gdy z jakiegoś powodu kończy się kadencja tego stanowiska, przestaje on/ona być profesorem. Ich waga w oficjalnej hierarchii nie jest już ta sama, lecz mądrość i doświadczenie – i wszystko z tych wynikające zostają w umyśle Dra XY i w jego/jej otoczeniu. Jego/jej autorytet pozostaje, tylko w jakby inno-wymiarowej, ale niezupełnie rozłącznej przestrzeni.

Czy pozostają lub nie owymi sternikami z innego cytatu z dialogu Cycerona *Katon Starszy o starości*, to już detal operacyjny, choć ważny.

ANDRZEJ M. KOBOS

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.



## Kraków – warto wiedzieć

# Miejsce sztuk

Z **BOGDANEM TOSZĄ**,  
dyrektorem Filharmonii Krakowskiej,  
rozmawia **MARIAN NOWY**

– W jednym z wywiadów powiedział Pan, że ma talent do interdyscyplinarności. Tak też wynika z Pańskiego wykształcenia i drogi zawodowej. Jest Pan filologiem polskim, historykiem sztuki i reżyserem, przez lata kierował Pan teatrami w Katowicach i we Wrocławiu, wykłada Pan również na Uniwersytecie Śląskim. Od października ubiegłego roku jest Pan szefem Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. Dlaczego skłonił się Pan obecnie ku Polihymnii?

– Mój zwrot w kierunku filharmonii jest decyzją, aby pozostała część zawodowego życia poświęcić temu, co przez całe to życie było moją pasją, a co w dojrzałych latach udało mi się zamienić na bardzo poważne zajęcie. Pewna część tej decyzji wynika ze zmienionego stosunku do teatru. Teatr – zwłaszcza polski, który znam dobrze – bardzo się teraz zmienił. Nie jest to teatr, z którym mógłbym się utożsamiać, zarówno w sensie repertuarowym, jak i formalnym. To zupełnie inna scena niż ta, na którą wstępowałem czterdzieści lat temu. Teatr był wtedy miejscem bardzo poważnej intelektualnej, światopoglądowej rozmowy, której podstawę stanowiła literatura dramatyczna. Jego oblicze determinowały takie nazwiska, jak Erwin Axer, Zygmunt Hübner i grono fantastycznych reżyserów, z których dla mnie najważniejszy był Konrad Swinarski i jego sposób traktowania literatury dramatu, jako najważniejszej części reżyserskiej wypowiedzi. Swinarski twierdził, że dwa tysiące lat literatury dramatycznej to dosyć,



Dyrektor Bogdan Tosza  
fot. Michał Ramus

aby znaleźć nieograniczoną ilość miejsca dla wypowiedzi reżyserskiej. Dziś wszystko się zmieniło, dramat nie jest dramatem, wypowiedź reżyserska jest miejscem szokowania i indywidualnej manifestacji. Rzadko się zdarza, żeby reżyser chciał się skomunikować z widownią. Najkrócej mówiąc – to nie jest miejsce, któremu chciałbym się w tej chwili bez reszty poświęcić.

A muzyka całe życie pozostaje moją pasją. Miejsca koncertowe były w tym samym stopniu miejscami mojej obecności co teatr, niezależnie od tego, w jakiej części świata się znajdowałem. W teatrze spotykałem muzyków, a muzycy spotykali mnie w filharmonii. Do takich pasjonatów teatru należy na przykład Krzysztof Jakowicz, który bardzo szybko odnalazł mnie tu, w filharmonii, i który – w przeciwieństwie do różnych zdumionych moją decyzją – zadziwiony nie był.

– Czy są jakieś granice interdyscyplinarności? Czy współdziałanie kilku sztuk może dać w efekcie powstanie nowego gatunku?

– Kiedy wstępowałem do szkoły teatralnej, reżysera sprawdzano przede wszystkim w kategoriach interdyscyplinarności. Jeśli teatr jest syntezą wielu dyscyplin artystycznych, to reżyser, który z natury jest przywódcą różnych artystów tworzących przedstawienie, musi być postacią interdyscyplinarną. W tamtych czasach tradycja schillerowska reżysera, który musi się orientować w literaturze, w plastyce, w muzyce, w teatrze samym, była oczywista. To zresztą było bliskie mojej naturze. Najpierw studiowałem polonistykę, którą determinowały postacie Ewy Miodońskiej-Brooks – wybitnego znawcy Stanisława Wyspiańskiego, i Jana Błońskiego – jednego z najwybitniejszych badaczy literatury, człowieka, który pisał o literaturze współczesnej, ale obok wielkiej eseistyki pozostawił także książki poświęcone dramaturgom – Witkacemu, Gombrowiczowi, Mrożkowi, Wyspiańskiemu. Dzięki Błońskiemu, który bywał także w Piwnicy pod Baranami, jeździł do Laboratorium Jerzego Grotowskiego i miał po prostu szerokie horyzonty, ta polonistyka była otwarta na coś więcej, niż samo badanie wersyfikacji w dwudziestolecie międzywojennym...

Dosyć szybko poczułem jednak niedosyt i na czwartym roku, równoległe z polonistyką, zacząłem studiować historię sztuki, która stała wówczas na niezmiernie wysokim poziomie, skierowana na współczesność i formy – nazwijmy to – „interdyscyplinarne”. Najważniejszą postacią wydziału był wówczas jej szef – Mieczysław Porębski, związany z Tadeuszem Kantorem i Grupą Krakowską, co wpływało na otwarcie plastyki na inne formy. W ten sposób na przykład poznałem Adama Brinckena, dzisiaj jednego z ważniejszych malarzy krakowskiej akademii, który przygotowywał potem scenografię do mojego teatralnego debiutu.



## Kraków – warto wiedzieć

I w tym wszystkim jest jeszcze jakaś ogromna aktywność filharmonii i różnych innych miejsc w Krakowie „do grania”. Niedawno zdałem sobie sprawę, że jubileusz obchodzi MW2, teatr instrumentalny Bogusława Schaeffera. Zaangażowanie w tę grupę ludzi teatru, z Mikołajem Grabowskim i Janem Peszkim na czele, plus złote lata Starego Teatru, lata siedemdziesiąte, to jest czas, kiedy moje poczucie interdyscyplinarności się konstytuuje. Interdyscyplinarność uważam za coś naturalnego w psychice reżysera i z tą świadomością rozpoczynałem zawód.

W 1992 roku zostałem dyrektorem Teatru Polskiego w Katowicach – jedynej polskiej sceny, która nosi imię Stanisława Wyspiańskiego, najwybitniejszego człowieka „interdyscyplinarnego” w Polsce. W osobie Wyspiańskiego mamy bowiem dramaturga, malarza, człowieka teatru, przygotowującego kostiumy, a nawet ingerującego intensywnie w warstwę dźwiękową spektakli. Kiedy zostałem dyrektorem teatru z takim patronem, zdałem sobie sprawę, że coś musi z tego wynikać. Wyspiański – jak go potem opisał Schiller w czasopiśmie „The Mask” Craiga – był pierwszym polskim twórcą o tak głębokim poczuciu, że spektakl teatralny jest syntezą wielu dyscyplin artystycznych. Pomyślałem, że nadszedł moment, aby wrócić do rozbioru tej syntezy. Założyłem więc trzy galerie oraz trzecią scenę, którą w dużym stopniu zdominowała muzyka. Była to scena w Malarni, dawnej sali inicjacji loży masońskiej, w której po II wojnie światowej ulokowano pracownie. Przestrzeń tę niezmiernie polubił Kwartet Śląski, tam odbywały się koncerty muzyki kameralnej Henryka Mikołaja Góreckiego, tam swoje prelekcje ilustrowane muzyką przedstawiał jeden z najwybitniejszych kompozytorów pokolenia Góreckiego, już wówczas mieszkający w Berlinie – Witold Szalonek. Tam również przez jeden dosłownie dzień eksponowałem wypożyczony z Biblioteki Śląskiej oryginał kantaty masońskiej Mozarta. To są przeżycia, po których do dzisiaj mam ciarki na plecach.

W dużej sali co poniedziałek występowała Opera Śląska, ale były też zdarzenia okazjonalne, jak chociażby koncert NOSPR z Januszem Olejniczakiem grającym koncert Liszta na naszym odnowionym Bösendorferze podczas wizyty prezydentów krajów Grupy Wyszehradzkiej. Nigdy nie zapomnę wieczoru zorganizowanego z inicjatywy Wandy Warskiej, która zaanimowała kilku kompozytorów, poczynając oczywiście od Andrzeja Kurylewicza, przez Pendereckiego, Kilara, Preisnera do Góreckiego, aby napisali muzykę do znanego wiersza Wyspiańskiego „Jakżeż ja się uspokoję”. Nikt jej nie odmówił, a Górecki zrobił coś wyjątkowego. Zadzwonił do Wandy Warskiej, mówiąc, że „wyszło mu” 32 minuty suity na ten temat i stawia jeden tylko warunek, że przy fortepianie zawsze musi siedzieć on sam, niezależnie od tego, gdzie ten utwór będzie grany – w Paryżu, Pekinie czy w Pcimiu. I tak było. W każdej z realizacji tego koncertu grał więc Henryk Mikołaj Górecki. I taki koncert nie mógł nie być grany w Teatrze Śląskim imienia Stanisława Wyspiańskiego.

Tak rozumiałem teatr i swoją rolę jako dyrektora teatru. Jeśli teatr jest syntezą sztuki, to niech te sztuki mają swoje miejsce w teatrze.

**– Przez szereg lat związany był Pan z Krakowem i teraz wraca Pan do tego miasta, by w widoczny sposób wpłynąć na kształt jednej z najważniejszych instytucji kultury, jaką bezsprzecznie jest Filharmonia Krakowska. Jaka jest Pańska wizja działalności tej instytucji za kilka lat?**

– To są dwie perspektywy – jedna krótsza, druga dłuższa. Ta krótsza dotyczy budynku na Zwierzynieckiej, natomiast ta dłuższa – a jestem głęboko przekonany, że powstanie nowy budynek filharmonii i dla filharmonii zacznie się nowe życie – to ulokowanie się w budynku przeznaczonym dla filharmonii, z wnętrzem, które będzie dostosowane do jej potrzeb, z nowymi możliwościami technicznymi. Wreszcie – ulokowanie się w nowej przestrzeni Krakowa. To jest wizja nowej przyszłości. Każda sala będzie determinowała inny sposób wykonawstwa – widzimy to w przestrzeniach, które powstały w Europie, poczynając od tej genialnej zarówno pod względem architektonicznym, jak i odsłuchowym w Filharmonii Berlińskiej.

Rozmawiamy w trudnym czasie, czasie porządkowania filharmonii, jej problemów finansowych, ale mam nadzieję, że ten proces nie będzie długi i wkrótce zaczniemy myśleć po prostu o samej muzyce, wykonawcach i wzrastającym poziomie naszych zespołów.

Z BOGDANEM TOSZĄ rozmawiał MARIAN NOWY

